№ 11. Warszawa, dnia 5 (17) Marca 1886 r. Rok XXI.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**
EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

PESSYMIZM.

Pessymizm bywa uważanym niemal ogólnie za chorobę naszego wieku; jest to jednak choroba ludzkiego ducha, stara jak świat i życie pędzone na nim. Rodzi się ona z zawiedzionych nadziei i pragnień, które zaspokojonemi nie zostały, więc też w pewnych epokach smutnych i trudnych do przeżycia, w epokach wielkich klęsk i strat ciężkich posępne uczucie zniechęcenia, nienawiść i pogarda dla istnienia ludzkiego na ziemi przychodzi zatruwać serca i sączyć w nie jad swój gryzący. Są wszakże stany ducha, które czynią człowieka skłonniejszym do zapadnięcia w tę czarną melancholią serca i umysłu, bo przecież widzimy wielkie, głęboko uczute boleści, które jednak nie sprowadzają skutków takich. Kiedy Krasiński głosem najwyższego żalu woła na czasy swoje, że są „nikczemną dziejów ludzkich dobą“, jeszcze on dla tego pessymistą nie jest, bo nie wszystkiemi czasami ludzkości wzgardził, nie we wszystkie doby dziejów zwątpił, i czujemy, że on jeszcze kocha i wierzy, że ma przed oczyma swego ducha ideały dobra i piękna, których się dla człowieczeństwa nie wyrzekł. Pessymista przecież już się z tem wszystkiem rozstaje; dla niego summa zła i cierpienietak w exystencyi człowieka przeważa, że pyta się: zali warto rodzić się i żyć, aby cierpieć, i na padole nędz ludzkich brodzić w większych, lub mniejszych nikczemnościach? Z takiego-to kierunku myśli ludzkich wyszła filozofia niebytu—filozofia Schopenhauera i Hartmana, i dlatego-to czasy, które ją wydały, nazwano wiekiem pessymizmu.

A przecież jest on zarazem wiekiem najwyższego, oile pamięć dzisiejszego człowieka sięga, rozkwitu nauki, sztuk, i dalej, tej cywilizacyi materyalnej, która tak ułatwia życie, tak je udogadnia i podaje takie środki zaspakajania potrzeb, nowe sposoby takiego dobrobytu, jakich nie znały pokolenia przeszłości.

Ferdynand Brunetière, literacki krytyk z *Revue des deux mondes*, więc człowiek konstatujący objawy myśli moralnej jednego z największych jeszcze narodów Europy, rozbierał niedawno (15 Stycznia b. r.) w Paryżu z mównicy publicznej przyczyny pessymizmu i najpierw zaprzeczył, aby go stworzył i rozszerzył Schopenhauer, bo on sam i jego systemat filozoficzny jest tylko wynikiem bolesnej myśli o życiu, nurtującej społeczeństwo nowożytne, lecz oskarżył o to złe, o to nieszczęście kogoś innego,—kierunki naukowe naszej epoki, teorye ewolucyi Darwina. Walka o byt, odbywająca się w naturze, wśród której mocniejszy ma za zadanie wyrugować słabszego, uprawniony w tem przez pojęcie jakoby pożytków ogólnych, aby tylko rasy najsilniejsze, najmocniej rozwijające życie zapanowały na ziemi i wiodły sprawy świata, nie otwierają przed ludzkością wesołych, miłych widnokręgów. Bo czyż to nie jest wypędzeniem zpośród nas spokoju, łagodnych, słodkich uczuć braterstwa istot żyjących obok siebie—pojęcia o harmonijnym rozwoju ich istnienia, wśród którego każdy ma swoje, wyznaczone mu miejsce, swój cel, zadanie i co więcej: swoje właściwe piękno i przedstawicielstwo jakiejś strony tego piękna, dobra, w ogólnym planie stworzenia? Z teoryą, która byt świata opiera na ciągłym ruchu przetwarzenia się w imię i na korzyść siły, znika to wszystko; egoizm panować musi bezlitosny, bezuczuciowy, pędzący cię bez odpoczynku do rozpierania się, rozszerzania, zajmowania jaknajwięcej miejsca i wypychania innych, abyś ty sam wypchniętym nie został i nie stał się podścieliskiem dla bytu tych, którzy się okazali doskonalszymi, bo mocniejszymi, od ciebie, i dlatego ich życie powinno rozsiąść się na grobie twoim. „Il n'y a lárien qui peut échauffer, dilater, épanouir les coeurs!“ woła Brunetière i dodaje z żalem gorzkim, że i druga teorya tej szkoły filozoficznej: teorya wyboru naturalnego, nie jest z zasady swojej zdolną uszczęśliwiać i wnosić w istnienie ludzkie uczucia słodkie i pokrzepiające. Miłość nasza, to nie dla naszego serca, dla naszego ducha zdobyty sobie jakiś promień ogrzewającego światła, jakiś maleńki kawałek raju, wśród istnienia ziemskiego sobie zapewniony—nie! to akt jakiś dokonany przez ciebie i nie przez ciebie dla ogólnych celów rodzaju twojego! Nie wesołe życie tworzy to człowiekowi, który te wszystkie pojęcia weźmie sobie głęboko do przekonania, a gdy ci jeszcze dowiodą, że nietylko choroby i ułomności fizyczne, ale wskutek nich właśnie cięży nad tobą inna jeszcze niewola okrutna: dziedziczność skłonności—dziedziczność nawet zbrodni, którą masz tak we krwi, że walka z tem, to nieprzewalczony bój z naturą twoją, może cię ogarnąć przerażenie obezwładniające, trwoga ściskająca serca.

I twoje przymioty rozebrano ci tak i przedstawiono przed oczy: to skutki także dziedziczności, temperamentu—tego coś w sobie na świat przyniósł; mówca smutnie dodaje, że w tej postępowej ocenie wszystkich sił ludzkich niema postępu dla jednej tylko—dla człowieka siły moralnej.

Darwin, Spencer, Heackel nie widzą przecież w tem wszystkiem nic, coby rozżalać mogło. Przeciwnie, patrząc na przyszłość świata ukształtowanego na zasadzie rugowania tego, co słabsze i nędzniejsze, z myślą, że to wszystko mdłe i liche wymrze zgniecione i zniknie—ustąpi z oblicza świata, widzą przepiękny obraz, wśród którego istnieją tylko twory pełne siły i piękna, z niej powstałego. Jakim przecież będzie stan ducha ludzkości, wychowanej w tych pojęciach, przez które siła staje się prawem do rozsiadania się, rozwielmożniania kosztem innych, bliźnich istot,

a więc egoizm każdego, co się czuje silnym cnotą wobec ogólnych pożytków rodzaju?

Przecież dzisiejszy człowiek tych pożytków doskonalenia się przez postępową zagładę słabszych, i stan ciągłej szermierki, wyrabiającej siłę rodzaju ludzkiego, nie bierze chyba do serca radośnie, skoro pessymizm się szerzy i znać, że idea postępu wiązała się w pojęciach ludzkości ze stanem rzeczy innym, może zupełnie przeciwnym temu, co jest obecnie, bo grunt pessymizmu tworzy niewątpliwie, niezawodnie uczucie zawodu— rozczarowanie. Brunetière widzi to po skutkach, jakie sprowadził upadek nadziei, łączących się w duszach szlachetniejszych z ideą pierwszej Rewolucyi Francuzkiej, i stawia jako przykład pessymistów francuzkich z tego czasu, Rivarol'a, Champfort'a. Marzono, że przyjdzie dla Ludzkości wiek złoty ogólnego szczęścia i uczciwego wymiaru sprawiedliwości, skoro tylko przywilej i zasada nierówności ludzkiej zostanie usuniętą, zwyciężoną przez postawienie na to miejsce praw człowieka. Omylono się przecież; czy zaś wielka wina, że się tak stało, nie spada na materyalistów Ośmnastego Wieku? Czy nie oni, którzy podkopali wraz z pojęciem Boga i duchowości człowieka jego siłę moralną i skierowali cały rozwój działalności ludzkiej w stronę rozwoju sił materyalnych, odpowiadać za to powinni? Czem był systemat feodalny, rządzący społeczeństwem ludzkiem przez długie wieki średniowiecznego ucisku jednych nad drugimi? Wyszedł on niewątpliwie z walki siły, stanowiącej prawo. Baroni, którzy podbili drżące, w ich lenników zamienione tłuszcze ludzkie, toż to osobniki silniejsze, ztąd zuchwalsze i poczuwające się do wyższego miejsca w ludzkości. Spychali, rugowali, i trzeba było potęg moralnych, aby ich gwałty i bezprawia,—jakby powiedział moralista, a rozwój ich siły dzielnej, jak powinienby przyznać wyznawca teoryi ewolucyi,—nie przedłużały panowania krwi i żelaza. Obok religii, która wystąpiła, przeciwstawiając się temu stanowi, szlachetniejsze aspiracye tkwiące w piersi ludzkości wytworzyły kodex moralny, zowiący się prawami rycerskości. Brały one w obronę uciśnionych, słabość występowała jako prawo, przed którym gwałt powinien się był cofać; miłość i poezya, związane ze sobą, stawały w poprzek barbarzyństwu, rodzącemu się z praw siły.

Rewolucya Francuzka miała jakoby dać ukształtowanie się ludzkości inne, lecz niestety! wybuch siły brutalnej ze strony jej dotychczasowych ofiar właśnie, zwichnął te plany. Znów mocniejszy zapanował i Brunetière w tem znaczeniu pisze: „La Révolution nous a fait beaucoup de mal et elle est loin d'avoir realisé tout le bien, qu'elle nous avait promis.“ Jednak zrobił się krok naprzód w walce właśnie przeciw idei siły i to jest owo: „quelque bien“, które jej Brunetière przyznaje. Taine w dziełach swoich tosamo twierdzi, tegosamego dowodzi: „Ancien régime“ ciężył na piersiach ludzkości, jako wywieranie siły; rewolucya dla tegosamego nie dotrzymała obietnic, jakie się z nią wiązały w przekonaniu ludzi dobrej woli, i oto występuje na świat wielki, bolesny objaw pessymizmu: „Le mal du siècle“, „Welt schmertz“ to jest on—rozkładający żywotne siły ludzi, którzy czego innego pragnęli, czego innego się spodziewali i zawiedzieni w najdroższych nadziejach, zapadają w rozpacz: przestają wierzyć w dobro, przestają kochać i chcą się ratować używaniem, ale to im nie starczy, bo natura człowieka ma w głębi swojej wsiane ziarno szlachetniejszych pożądań, które odzywają się w nim pomimo niego nawet.

W objawach pessymizmu są dwie fazy: cyniczne użycie życia po zabitych w sobie ideałach dawnych, rodzi bojaźń śmierci, która kryjąc się przecież przez dumę, rzuca niby tej śmierci wyzywającą ją rękawicę, i Brunetière cofa się po przykład takiego stanu ducha aż do Lukrecyusza, a wracając do swego czasu, wykazuje tensam kierunek uczuć i myśli w dzisiejszych autorach pewnej sfery przekonań. Myśl o ostatnim końcu człowieka na ziemi wślizguje się, jak wąż między kwiaty, w jego używanie, w jego rozkosze. Brunetière cytuje tu na dowód najpierw: *Fleurs du Mal* Karola Baudelaire, dalej mniej filozoficzny i uczony, ale może dosadniejszy tego wyraz w romansie Guy de Maupassant: *Bel ami*, w Zoli: *La joie de vivre*. Zimny, twardy grób u kresu i nic po zatem!... To rodzi pragnienie niebytu; z tej myśli o nicości życia, którego przyjemności nie opłacają jego trosk, walk, goryczy, ponoszonych dla niczego, bo gdy egoizm staje się podnietą wszech czynów człowieka, nie może już być mu pociechą myśl o jakiejś przyszłej szczęśliwości owych pięknych, silnych pokoleń, wyszłych ostatecznie z ewolucyi, w których siła zapanowała nad słabością. Takie odżywanie w dalszych losach swojego rodzaju nie starczy temu, który przez cały ciąg swego istnienia hodował w sobie jedynie pierwiastek egoizmu i Schopenhauer, Hartman piszą swoję filozofią a samobójstwa mnożące się w stosunku przerażającym swiadczą, że filozofia ta nurtuje w łonie ludzkości skutek doktryn naturalizmu, którym pasą obecnie człowieka. Lęka się śmierci, jako nicości, a jednak przyśpiesza sobie śmierć, gdy już używać nie chce, lub nie może, gdy obliczył, że już żyć nie warto!

„Powiecie mi może, że skutki pessymizmu nie mogą działać podobnie na osobistości wyższe, szlachetniejsze“—mówi Brunetière do publiczności swojej, ale jej odpowiada zaraz, że jednak tak jest. „Kto raz w życiu, pytając się, na co ostatecznie zdadzą się jego prace i trudy życia, jego ofiary i poświęcenia, kto wahając się między obowiązkiem a interessem własnym, nie umiał dać sobie zaraz odpowiedzi jasnej i prostej—temu zawsze grozi takie osunięcie się w zwątpienie o szlachetniejszych, wyższych celach człowieka, o jego przyszłości zagrobowej.“ Piękne, podniośle przekonywające słowa wymownego człowieka popierają w dalszym ciągu to jego twierdzenie, jak wązkim jest przesmyk, dzielący od pessymizmu każdego, kto nie wierzy w inne, jak na ziemi istnienie, w inne ideały, jak rozwój siły dla korzyści własnej. Pierwiastek jego duchowy mści się na nim, gdy zapoznany, trwa w nim po to tylko, aby go zmuszał do myślenia, zastanawiania się nad sobą i cierpienia bez pociechy, widząc się jakąś złożoną i samej siebie niezdolną pojąć, połowiczną istotą.

Brunetière nie chce ostatecznie rozbierać, czy prawa darwinizmu: ewolucyi, walki o byt, wyboru naturalnego, badane według ściślej i surowej metody naukowej, bez hypotez i na zasadzie czystych faktów jedynie, okazałyby się prawdą w porządku świata natury, bo w takim razie nawet trzebaby jeszcze dowieść: czy je można przenieść wprawodastwo moralne, rządzące społeczeństwem ludzkiem? Żaden, najbardziej pierwotny układ społeczny życia ludzkiego nie istniał nigdy wedle porządku życia czysto źwierzęcego. Rodziny, naprzykład, niema i nie było u źwierząt nigdy w znaczeniu tem, które przechodzi pierwsze odkarmienie małych przez parę starszych; niéma i nie było tam również państwa, narodu, i tych wszystkich instytucyi społecznych, przez które człowiek oderwał się i oddzielił właśnie od natury. Cała historya cywilizacyi, ludzkości badana z góry w dół, przedstawia nieustające usiłowanie wyłamania się zpod tych praw państwa zwierzęcości, które zdają się być dla nas niejako podporą (qui nous sert du support):— Nous sommes d'autant plus hommes, que nous subissons moins complement, et moins docilement les lois, ou l'animal se conforme de lui meme sans résistance“—to założenie, z którego wychodząc, Brunetière dowodzi, że wszelkie usprawiedliwienie czynów człowieka przez stronę jego natury źwierzęcej jest dlań upokarzające i cofa go wtył, spychając do tych istot niższego porządku, z pomiędzy których wyniósł się on i wydzielił, jako istota wyższa duchowo. Kto, sądząc o postępowaniu człowieka, mówi:—to natura... mówi:—to źwierzęctwo, dzikość, barbaryzm, cywilizacyi ludzkiej oporny, stan istnienia pierwotny. Istnieć o sile instynktów tylko-to byćnaturą, to być niższą hierarchią w ludzkości.

Jeżeli w głębi tak żyjącego człowieka znajduje się choć iskierka duchowości wyższej, wtedy jest on człowiekiem smutnym, człowiekiem w sobie niezadowolonym i noszącym w piersi zaród pessymizmu.

M. I.

RZYMIANKA.

Domu strzegła, wełnę przędła, zostawiona na [straży,
Gdy pod Weje poszli młodzi, w groby kładli się [starzy.
I kapłanką się czyniła, bez Westalek zasłony,
Trzy święcenia brała—matki, gospodyni i żony.
I nie dała się stlić iskrze domowego ołtarza:
Na noc grzebie ją w popioły, rano wstawszy roz- [żarza,
Tchem swej piersi ją roznieca, aż z niej płomień [zapala,
W lnianą szatę obleczona, prosta, czysta i biała.
Została już nieśmiertelnie w tej piękności wcie- [leniu,
Stoi posąg marmurowy na domowem podsieniu;
W białych kolumn rzędzie stoi, wyniesiony wysoko:
Tysiąc wieków już ludzkości tak ogląda ją oko.
Czy-to Porcya, czy Lukrecya, albo Matka Grachowa,
Niewieściego ideału w niej dostojność się chowa,
I dopóki będzie Ludzkość wzrok podnosić ku górze,
Póty ona, równa mężom w konsularnej purpurze,
Będzie świecić z głębi dziejów, jako geniusz wi- [domy
Cnoty ducha w piersi czystej i idei swej Romy.

M. Ilnicka.

BOŻY GNIEW

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Sprawy nadzwyczajnej wagi przychodziły na stół naglące, tak, iż je natychmiast, stanowczo rozwiązywać było potrzeba. W niepewności na obu kanclerzów spychał je król, wstydząc się razem nieudolności swej. Zdawało się, że i królowa niespokojną być musiała o jego zachowanie się w tem położeniu, obawiała się omyłki, zdradzenia ze słabością. Dlatego powoływała go ciągle pod rozmaitemi pozorami do siebie.

Rozpoczynała najtrudniejsze w świecie dzieło: przerobienia człowieka niemłodego, który miał nałogi zastarzałe i nawykł do ulegania fantazyom. Ufała jednak, iż iskierka rycerstwa, że duma tkwi, potrafią z niego stworzyć wodza.

Tym ona go tylko mieć chciała. Rzeczpospolita była machiną starą i nadwerężoną, której przerobić, ani naprawić nie było łatwo, ale czasu wojny, mężny i szczęśliwy wódz stojący na jej czele, mógł się okryć blaskiem i sławą, któreby słabości jego, nieudolności w rządzeniu dostrzedz nie dawały.

Od królowej słyszał Jan Kazimierz ciągle jedno naleganie.

— N. Panie! wszystko się składa jak najszczęśliwiej—mówiła.—Nie oddawaj hetmaństwa nad wojskami nikomu, sobie zostaw najwyższą władzę—idź sam, prowadź!! Dosyć będzie odgłosu tego: Król na czele, aby motłoch zadrżał... Okryjesz się sławą... ja to czuję... wojna — wojna... wszystkie siły na nią skupić potrzeba.

Pochlebiało to Kazimierzowi, który królowej myśl chwycił skwapliwie, ale w jego ustach natychmiast przybrała ona fiziognomią nową.

— Cudowny obraz N. Panny Czerwieńskiej zabiorę z sobą do obozu—mówił z zapałem.—Każemy śpiewać starą Bogarodzicę. Msza codzień i pokuta przed bitwą. Ducha religijnej gorliwości rozbudzić potrzeba.

Marya Ludwika, pobożna też, nic nie miała przeciwko temu, lecz przedewszystkiem rycerskiego pragnęła obudzić ducha.

Król objawiał zapał największy; oświadczał, że pójdzie przodem, że gotów jest bić się, jak prosty żołnierz.

— Resztę spraw bieżących, N. Panie,—wierzajcie mi, — możecie zwierzyć doświadczonym doradzcom, jakimi są dwaj kanclerze. Twoją troską powinno być wojsko... zebranie ludzi... i wystąpienie na plac boju... Będziesz miał sławę odrodziciela ojczyzny.

Ile razy przychodził do królowej, słyszał to jedno tylko Kazimierz—i, potrafił się przejąć tem usposobieniem rycerskiem.

Królowa była tak poruszoną, iż gotową się zdawała sama z nim ciągnąć na wojnę Nie trwożyło ją nic—pewną była zwycięztwa.

Ci, którzy dawniej znali króla, jak Butler, zaraz w dniach pierwszych uczuli potężny wpływ Maryi Ludwiki na niego, ale znajdowali go szczęśliwym. Janowi Kazimierzowi to rycerstwo nadawało pewien urok, na którym mu dawniej zbywało.

W Polsce szczególniej król, który zarazem żołnierzem i wodzem nie był. nie mógł pozyskać miłości narodu. Zygmunt III, choć nie miał szczególnego powołania do oręża, musiał przywdziewać zbroję i ciągnąć w pole—stając mężnie w czasie rokoszu. Jan Kazimierz też przypominał choć mało znaczący swój udział w rossyjskiej wojnie, a Karolowi to najwięcej do korony przeszkadzało, że go na koniu nie widywano.

Marya Ludwika więc nie bez przyczyny chciała przyszłego małżonka uczynić rycerzem, a on sam zdawał się tę metamorfozę uznawać też za konieczną.

Dotąd zbrojownia jego była tak mało znaczącą, że nie wiedziano, gdzie jej szukać, gdy spytał o nią, ale po Władysławie pozostały bardzo wytworne i kosztowne uzbrojenia: hełmy, tarcze, pancerze, które, choć do chudszej i niklejszej figury króla nie nadawy się, płatnerze na to i kaftany łosiowe poradzić mogły.

Jednego ranka Butler otrzymał zlecenie rozpatrzenia się w uzbrojeniu.

Własnego nie miał prawie nic Jan Kazimierz, gdyż po powrocie z Rzymu nie starał się o to; oprócz kilku szpad, które u boku nosił, nie było uzbrojenia: musiano więc zaczerpnąć w spuściznie bogatej po bracie, aby nie kupować. Potrzeba było też starszych wojskowych wezwać do rady, bo król żadnego nie miał doświadczenia i nie wiedział, co dźwignąć i nosić może.

Cały ranek jeden trwały narady, bo Kazimierz chciał wieczorem zaspokoić królową, iż przybory wojenne miał w gotowości. Próbowano blach, koszul, szyszaków, mieczów, nawet buław, z których jednę w uroczystych chwilach król miał nosić. Milcząco dawał się odziewać w kaftany i rozbierać, ale znajdował, że całe uzbrojenie dosyć ciążyło i ruchy utrudniało.

Dwór króla stary, który go widywał w kardynalskiej purpurze, w czarnej długiej sukni zakonnej, w niemieckim stroju świeckim, z uśmieszkiem teraz spoglądał na pana, który miał nagle przemienić się w żelazem okutego bohatera...

VIII.

Dzień dwudziestego Listopada zwiastował się zrana zimny i wietrzny. Śnieg polatywał; znaczna część starszych senatorów i znużonych sejmowaniem dziennem i nocnem posłów—siedziała po domach i gospodach.

Spoglądał każdy w okno... Ba! jednym mniej, jednym więcej! Obejdzie się tam beze mnie.

Zrana więc mała garstka tylko znalazła się pod szopą, dla ukończenia roztrząsań paktów konwentów. Naglono o głosowanie, aby raz temu koniec położyć.

Szczęściem też, niebo łaskawsze rozjaśniać się zaczęło—szlachta się ściągała. Król, który dla uroczystego wjazdu po spodziewanej dnia tego elekcyi czekał ze dworem za miastem, usłyszał wreszcie około południa huk dział, który mu zwiastował, że na polu śpiewano już *Te Deum!*

Co chwila też nadbiegali z powinszowaniami co żywiej, ci panowie, którzy królowi przy wjeździe towarzyszyć mieli. Pomiędzy nimi król mógł się doliczyć aż pięciu sobie wiernych Radziwiłłów.

Wśród okrzyków wesołych siedli na konie wszyscy. Cała droga do miasta i do kościoła nabita była ciekawemi, witającemi tłumami. Jan Kazimierz jechał rozpromieniony i zwycięzki.

Wtem na drodze, jeden z tych sławnych ówczesnych jowialistów, których sporo liczono w tym czasie właśnie, gdy najmniej się śmiać było z czego—dawny dworzanin Władysława IV—Zygmunt Skarszewski, tak dzielny żołnierz i dowcipny żartowniś, jak stary, dogorywający już Samuel Łaszcz—czapeczka na ucho jedno włożona—nawinął się na oczy królowi.

Spostrzegłszy to drwiące wesołe oblicze, Kazimierz żartobliwie odezwał się do niego:

— A co tam słychać, mości panie? Kto w okopach królem mianowany?

— A!—odparł strojąc minę smutną Skarszewski—ładu niéma w Polsce... wszystko stoi nieporządkiem u nas. Już-ci się mnie korona należała; alem się, zagrawszy w kostki, z konkurrencyą spóźnił.

Zaprawdę, za mojego panowania, Polacy byli by mieli takie zamieszanie i kaszę—jak nigdy!... ale cóż! przez te kostki Rzeczpospolita straciła, a jam się jeszcze zgrał w dodatku!

Było to pierwsze oznajmienie o dokonanej elekcyi — które wszyscy, i sam elekt, śmiechem wesołym przyjęli. Skarszewski przyłączył się do świetnego orszaku, wśród którego liczni biskupi, Nuncyusz, królewicz Karol, Senatorowie, dygnitarze pierwsze obok króla miejsca zajmowali.

Kościół Ś. Jana już był przystrojony i oświetlony na przyjęcie.

W loży zamkowej, za zasłonami, stała królowa, która na dzień ten, wzorem królowych francuzkich, żałobę czarną na białą zamieniła. Patrzyła i łzy jej wzrok mąciły. Teraz, gdy już elekcya cudowną jednomyślnością dokonaną została, dowiadywano się ze zwierzeń różnych, z narzekań spóźnionych, że Rakoczy siedmiogrodzki miał znaczną partyą za sobą i tylko zręczne zabiegi królowej, onieśmielenie spiskowych, pospiech naostatek, zapewniły koronę Kazimierzowi.

Zdala warcząc, odgrażali się ci stronnicy Zygmunta IV... że on może siłą to pozyskać, czego mu z dobrej woli nie dano.

Mało kto w czasie tej uroczystości, przysięgi, mów, powinszowań—zwrócił oko na zakrytą lożę i niewielu może wiedziało, że nawpół firankami przysłoniona, siedząca w niej kobieta poruszała rządziła, kierowała znaczniejszą częścią tych senatorów, którym się zdawało, że czynili, co sami chcieli.

Żałoba nie dozwalała się Maryi Ludwice pokazywać nigdzie, znużenie cielesne i na duchu czyniło ją niemal chorą—ale czuwała zdala.

I ona także w niepewności pędziła te dni oczekiwania, nie o małżeństwo swe, bo to, niestety, ominąć jej nie mogło, ale o przyszłość małżonka. Potrafi-li ona uczynić go wodzem, rycerzem i królem, jakim marzyła?

Były dnie, gdy Kazimierz wydawał się jej ożywionym, natchnionym, chętnym do pracy, ale częstokroć nazajutrz już był zmieniony, zmęczony—i sam powątpiewający o sobie.

O żenieniu urzędownie mowy jeszcze nie było; wymagało ono zgodzenia się Stanów—chociaż to było niewątpliwe. Tymczasem naznaczono już pogrzeb Władysława w Krakowie na 15 Stycznia, a po nim koronacya i sejm odbyć się miały.

Dano nieco spocząć Kazimierzowi, który codzień widywał królową i względem niej z tem większą był wdzięcznością i affektem, im się jej mocniej obawiał.

Powracał od niej na przemiany: z uwielbieniem i ze strachem.

Butler, któremu potrzebował się zwierzać naprzemiany, słuchać musiał... niepomiernych pochwał—a potem cichego mruczenia.

— Gdybym ja się mógł od niej uwolnić!

W dni kilka Ossoliński, któremu szło wielce o to, aby się u Jana Kazimierza utrzymał w tej wziętości, jaką miał u nieboszczyka, we wspaniałym pałacu swoim wystąpił z ucztą, która napozór była niespodziewaną, chociaż Marya Ludwika od kilku tygodni o przygotowaniach do niej była zawiadomioną.

Król, zaproszony, pojechał chętnie i zabawiał się bardzo wesoło, szczególniej nadskakując młodym i pięknym paniom, między któremi marszałkowa Kazanowska prym trzymała. Spostrzegli wszyscy tę dla niej preferencyą, ale też dziwić się nie było można, bo piękna pani wyzywała J. Król. Mości słowy i oczyma.

Królowa nazajutrz szydersko nieco żartowała sobie z przyszłego małżonka, nie zdając się do tego przywiązywać wagi.

— Strzeż się jednak W. Król. Mość oczu ludzkich... bo, wysoko siedząc, narażony jesteś na potwarze; nie trzeba do nich dostarczać wątku. Co księciu było wolno, królowi się nie godzi.

Jan Kazimierz wczorajsze zaloty obrócił w żart i zaparł się ich najuroczyściej, ale wróciwszy do siebie, zawołał do Butlera:

— Na każdym kroku mnie śledzi! jestem spętany. Ślubu jeszcze nie wziąłem, a w niewoli już jestem. Co to będzie dalej?

Starosta nie odpowiadał.

Nawoływanie do wojny, która królowej zdawała się jednym środkiem wybawienia — przycichać zaczęło. Namówiono króla, aby, na czasie zyskując, listy wysłał do kozactwa — a te napozór poskutkowały. W istocie zaś Chmiel się potrzebował zorganizować i tłumy motłochu ująć w jakieś karby—pozyskać sobie Tatarów i kto wie jeszcze jakich spodziewanych sprzymierzeńców.

Kozacy wołali głośno, iż pofolgowali Rzeczypospolitej, ulegając *prośbie* króla.

Można sobie wystawić, jak ta *prośba* szlachcie smakowała, która obruszała się na motłoch—chociaż nie śpieszyła przeciwko niemu. Mazurowie szczególniej uspokoić się nie mogli, na gwałt dopominając się indagacyi i ukarania zbiegów piławieckich.

Ciężkie warunki jakie nakładało, Kozactwo, ze swej strony niedając żadnej rękojmi pokoju, kazały przewidywać, że krwawo jeszcze będzie rozstrzygać się ta sprawa, w której Chmiel z czernią, daleko pewniejsi byli sprzymierzeńców i sojuszników, niż osamotniona Rzeczpospolita.

Nikt tu przyszłości nie widział jasno, zaślepiała świetna przeszłość: pogromcy tylu potęg mieliż się lada zbuntowanych chłopów ulęknąć?

Łudzili się wszyscy, a kto, jak Kisiel, widział jaśniej niebezpieczeństwo i radził mu zapobiegać, tego zdrajcą ogłaszano.

W Styczniu wreszcie król, dobrej myśli, wybierał się do Krakowa; królowa chora i smutna pozostawała w Warszawie. W ostatnich dniach starała się natchnąć Kazimierza męztwem i wytrwałością a król, czuły i posłuszny, obiecywał wszystko, co chciała. Wyrywał się jednak zpod jej oczów, rad wyswobodzenia i nie ukrywał się z tem przed starostą.

Nawykły do tych najsprzeczniejszych zwierzeń, Butler słuchał ich z jednaką obojętnością, nie przywiązując wagi do nich, choć się gwałtowniej objawiały. Dzień następny zaraz je ostudzał.

Podróż na Częstochowę odbyła się szczęśliwie, chociaż z mniejszą daleko okazałością, niż dawnych panujących. Wszystkie obrzędy spełniły się według form uświęconych, nie pominięto niczego; ale ci, co pamiętali dawniejsze czasy, z boleścią widzieli, iż kraj, miasto, dwór, ludność, bez zapału, chłodno udział w nich brała. Wszystko jakoś zubożało, skurczyło się, zmalało. Owe orszaki panów, strojne pułki, hussarze, gwardye cudzoziemskie od axamitów i lamy, tryumfalne łuki i ognie, zdrobniały, nie miały blasku ani prze-

pychu dawnego. Upadek zamożności i ducha zarówno czuć się dawał.

Nie było tej ufności w przyszłość, jaka niegdyś ożywiała każdego panowania początki. Król sam niewiele był obiecujący, znano go tylko ze zmiennych wielce kolei fortuny, a jutrzenka jego panowania nie rozproszyła chmury stojącej na horyzoncie jeszcze i głuchym przypominającej się grzmotem.

— Wołano — Vivat! a pierś wtórowała: Niepomszczona Piławiecka! Zbiegłe sromotnie wojska, zabrani w niewolę hetmani, kozactwo i chłopstwo na karkach, z groźbami! — Kto nas pomści?

Jedyny wódz, którego obawiali się buntownicy, jedyny mąż, który mógł może podówczas zbawić Rzeczpospolitą, Jeremi Wiśniowiecki którego sława i szczęście we wszystkich zazdrość obudzało, czasu koronacyi doznał lekceważenia—i zapowiedzi, że buława i naczelne dowództwo ominąć go miało!

Gdy w czasie pogrzebu Władysława kruszono drzewce królewskiej chorągwi, a obłamek jej, jako godło wodza, należał Wiśniowieckiemu, sięgnął też on po niego; ale Jan Kazimierz, w którym zazdrość obudzono, przestrzeżony, umyślnie pominął go i drzewce oddał pokojowcowi swemu Strzęboszowi.

Mogło się to nazwać omyłką, zapomnieniem, ale było uchybieniem i zniewagą, którą Wiśniowiecki uczuć musiał głęboko.

Zaledwie przebrzmiały okrzyki koronacyjne, a senatorowie zebrali się na radę—Piławiecka! indagacya! ukaranie zbiegów—zahuczało znowu.

Król dosyć neutralnie zachowywał się we wszystkiem. Naostatek przyjaciele Maryi Ludwiki uznali chwilę właściwą, aby wnieść kwestyą królewskiego małżeństwa. Jan Kazimierz, który nigdy zręcznym politykiem nie był, i w tej sprawie, tak go blizko obchodzącej — pozostał biernym. W duszy pragnął najmocniej, aby senat dla blizkiego powinowactwa, sprzeciwił się tym ślubom, lecz stało się inaczej.

Królowa silniejszą tu była nad niego, a dyspensa rzymska, za którą Nuncyusz ręczył, iż była w drodze, wszystkim zamykała usta. Ci więc nawet, co w początkach sprzeciwiali się małżeństwu, zamilknąć musieli.

Król, choć zgryziony tem, uradowanego udawał, gdyż wyzwolenia się stracił już nadzieję.

Codzień prawie przybywający posłańcy królowej i listy jej dostarczały wskazówek, jak sobie miał Jan Kazimierz postępować. Oburzał się na tę niewolę, lecz słuchał, bo tożsamo co listy Maryi Ludwiki przynosili mu Ossoliński i Radziwiłł.

Wyrazem potrzeb najpilniejszych było przemówienie marszałka koronnego: żądał on wojska; ofiar i potężnego uzbrojenia zewsząd zagrożonego kraju. Nie jedni Kozacy grozili: Rakoczy z najazdem się odzywał, Szwedzi z Niemcami mogli łatwo korzystać z osłabienia Polski, naostatek Tatarowie i Turcy obojętnie też nie mogli patrzeć na ten łup, który im wydzierano. Kanclerz wymownie w imieniu króla odzywał się do sejmujących.

Niestety, cały przebieg spraw aż do końca sejmu był niejako odbiciem stanu umysłów ówczesnego, niepokojonych tem, co się stało,—tem, co się stać mogło, a napróżno szukających ratunku.

Jan Kazimierz wołał o wojsko, ale w cudownych obrazach jeszcze większą niż w nich nadzieję pokładał — i miał słuszność, bo cudu potrzeba było, aby z tego chaosu siłę i czyn wyprowadzić...

Wśród narad co czynić — jak jęki boleści wytryskiwało:

— Grzechy nasze nas biją!

Kanclerz Radziwiłł ucisk chłopów ciągle przypominał, inni zgnuśnienie wyrzucali rycerstwu; jęczano... wzywano kary i pomsty... a nie wiedziano co czynić.

Jedyny wódz... strasznym był, aby jako zbawca ojczyzny wszystkim nie odjął sławy!!

Schodzono się codzień tak boleć, narzekać i stękać.

Król? rachował na to, że sam odgłos imienia jego zasieje trwogę; gotów był stanąć, prowadzić i zgnieść tych zbuntowanych, którzy tymczasem z zuchwalstwem niesłychanem naśmiewali się z dawnych panów...

Wśród tych narad bałamutnych dano znać z Warszawy, iż królowa mocno zasłabła. Król już Krakowem znudzony, rad był się może ztąd wyrwać; roztawiono konie, przyśpieszono obrad zamknięcie.

Pobyt Kazimierza w starej stolicy ciekawym dostarczył treści... skazówek, do odgadywania przyszłości.

Było to charakterystyczną słabością tej doby właśnie, że się gwałtownie domagano od astrologów, od ludzi świątobliwych, od wróżbitów wszelkiego rodzaju, odsłonięcia tajemnic jutra. Nigdy tyle horoskopów, astronomicznych obrachunków, wierszy zagadkowych, proroctw świętobliwym przypisywanych — nie obiegało po rękach, jak w tych latach.

Każdy się starał wiedzieć, co mu jego narodziny wróżyły, bo nie wątpiono, że w gwiazdach zapisane były wyroki nieuniknionego fatum. W czasie pobytu króla, w sam dzień koronacyi, pożar na zamku nie mógł też pozostać bez tłumaczeń i wykładów.

Wieczorem, gdy po biesiadzie wszyscy się już po kwaterach rozeszli, a w mieście jeszcze i przy niektórych pańskich dworach ognie sztuczne wyprawiano na cześć ukoronowanego, tuż podle sypialni, w której on spoczywał, w Kurzej Stopie ogień się zajął.

Król się przebudził, ale w pierwszym momencie służby rozpierzchłej nawet dowołać się było trudno na ratunek, bo i ta ucztowała i szalała... Nadbiegł tylko Ossoliński i wszczęty pożar rychło ugaszono.

Kanclerz miał tę przytomność umysłu, iż strwożonemu Kazimierzowi ognia tego jako dobrej wróżby powinszował; lecz spalenie się Kurzej Stopy w mieście za zły *omen* uważano.

W powrocie do Warszawy na pół drogi potrzeba się było i dla przeprzęgu i dla posiłku zatrzymać. Dzień był piękny i pogodny. Kazimierz wyszedł przed plebanią, w której go proboszcz przyjmował.

Kilka kroków dzieliło go tylko od małego kościołka wiejskiego, na którego progu ujrzał dziwacznie wyglądającego człowieka. Wydał on mu się żebrakiem.

Nie powstał jednak na widok króla, i tą obojętnością swą ciekawość jego obudził. Mężczyzna był ogromnego wzrostu, silny, z głową włosem bujnym siwiejącym okrytą, z oczyma głęboko pod kością czołową i brwiami rozrosłemi ukrytemi. Suknia nakształt mniszej okrywała go, podpasana sznurem, u którego wisiał prosty drewniany różaniec.

Był to tensam stary pątnik Bojanowski, któregośmy widzieli w gospodzie księcia Karola nad Wisłą. Pielgrzymka teraz z Częstochowy i Gidlów prowadziła go do Krakowa... Trafem zaszedł do kościołka, gdy król właśnie na plebanią zajeżdżał. Ale czem był król dla niego?

Jan Kazimierz—zbliżył się ku niemu...

Nie ruszył się i teraz Bojanowski. Pierwszy musiał go Jan Kazimierz pozdrowić: Niech będzie pochwalony,

Żebrak mniemany skłonił głowę i zamruczał odpowiedź; nie powstał jednak i wiele się nie zdawał okazywać ochoty do rozmowy.

Tem mocniej podrażniło to króla; sięgnął na przód do woreczka po jałmużnę, lecz, ruch ten odgadłszy Bojanowski—odezwał się:

— Jam nie żebrak; jałmużny nie potrzebuję.

— Któż jesteś?

— Grzesznik, jak i ty...

Wtem Strzembosz który zdala stał, starca nie znał, a sądził, iż go powinien przestrzedz z kim mówi, podbiegł, schylił mu się do ucha i szepnął:

— To król jest!

— Wiem o tem — rzekł głośno, obojętnie Bojanowski.

Jan Kazimierz, posłyszawszy przestrogę i odpowiedź, uczuł się tem dotkniętym.

— Króla więc sobie za nic ważycie?—odezwał się podchodząc.

— Mam-ci ja codzień z królem królów do czynienia — odparł niepowstając starzec — cóż dla mnie twój ziemski majestat waży? — Patrzę na ciebie i boleję nad tobą, bo biedniejszym jesteś z tą koroną twą, niż najnędzniejszy z poddanych twoich. Kozłem jesteś ofiarnym, który za grzechy tysiąców i swe własne cierpieć będzie, nie za żywota tylko, ale po wsze wieki. Cierniem jesteś ukoronowany, trzcinę ci miasto berła dali w ręce, a purpura twa, krwią zabarwiona, gdy zeschnie, stanie się czarną.

Tak, królem chciałeś być i jesteś, ale nim nie umrzesz... królem jesteś godnym tego królestwa zgnilizny i grzechu! Biada tobie i królestwu twojemu!

Jan Kazimierz słuchał, bledniejąc. Nawykły szanować ludzi świątobliwych, czuł w tym nieznanym starcu jakąś istotę nie z tego świata; duchem się korzył przed nią, ale majestat jego królewski cierpiał.

— Wiem—odezwał się po namyśle—że w nieszczęśliwą powołany zostałem godzinę, ale nie w sobie ufam: wierzę w Opatrzność i pomoc Bożą, w miłosierdzie Pańskie.

Bojanowski rzucił głową.

— Bijcie się w piersi — rzekł — ty i ten kraj, czyście na nie zasłużyli?? Skalanych grzechami Bóg natchnąć nie może, a nie obmyliście się z grzechów waszych. Modlitwą nie przebłagacie Boga, ani ofiarą rąk nieczystych... serca wasze zepsute są i ostygłe. Dzikie źwierzęta wypuścił na was mściwy Jehowah, które szarpać będą i krew waszą toczyć, aż poprawicie się i pokutować będziecie. Biada tobie i królestwu twojemu!

Król nie śmiał się odezwać, rad był odejść, a siła jakaś trzymała go jak przykutym przed tym starcem, który siedział jako sędzia surowy i ledwie nań chciał patrzeć.

Milczenie trwało dosyć długo, naostatek Kazimierz rzekł głosem zniżonym:

— Módlcie się za mnie i za wszystkich...

— Modlę się i pokutę czynię, za własne i za wasze grzechy—odpowiedział Bojanowski — ale głuchym jest Bóg, bo grzeszyć nie przestajecie. Upokorzył was, zgniótł, krew się lała strumieniem, niewolnicy wasi stali się panami waszymi; urągają się wam i znęcają — a wy?... ucztujecie i odgrażacie się... i czczemi słowami szermujecie, żądając, aby Bóg zastępów za was szedł i zmiótł nieprzyjaciół, a wam pomstę łatwą dał w ręce!! Cierpliwym był Pan, ale przyszła godzina kary Bożej.

Mieliście proroki, które wam przepowiadały—nie wierzyliście im; mieliście znaki na ziemi i niebie—ślepiście byli na nie; przyszła kara... a zamiast pokuty przekleństwo i narzekanie macie na ustach.. Biada tobie, królu, i królestwu twojemu!

Gdy powoli, jakby sam do siebie, na króla nie patrząc prawie, mówił tak Bojanowski, a Jan Kazimierz, ochłonąwszy ze strachu, dotknięty nieposzanowaniem majestatu swojego, burzył się już i myślał tylko jak ma odejść ztąd—proboszcz miejscowy, staruszek bojaźliwy, który nadszedł na ostatnie Bojanowskiego słowa i słuchał ich przelękły, począł starcowi zza króla znaki dawać, aby zamilkł.

— Nie zamykaj mi ust—zwrócił się ku niemu stary—Niéma dziś od kogo-by on prawdę posłyszał. Z kazalnicy mu pochlebiać będą... od ołtarza go błogosławić: a grzesznik jest jako my, a gorszy od nas, bo on i grzechy jego na świeczniku są postawione.

Bogu wiarę ślubował, i strzymał; poprzysiągł ją królestwu temu, i nie dotrwa do końca.

Król się zwrócił do proboszcza...

— Szalony jest!—zamruczał—chodźmy.

Bojanowski pozostał na progu kościoła i, usłyszawszy odchodzących, podniósł oczy:

— Biada tobie i królestwu twojemu!—zamruczał raz jeszcze.

Drzwi kościołka przymknięte były tylko; starzec wstał, kijem się podpierając, bo chłopaka przy nim nie było, i wsunął się, wlokąc nogami do wnętrza.

Przed wielkim ołtarzem płonęła zwieszona lampa; ale mrok panował tu, wśród którego tylko gdzieniegdzie złocenia jakiego odblask i jaśniejsza chorągiew występowała. Bojanowski

zbliżył się aż do stopni, klękł i padł na twarz, jęcząc. Kosztur mu się wysunął z ręki; zaryczał głośnym płaczem i wołaniem do Boga.

Jan Kazimierz, poruszony jeszcze, usłyszawszy ten jęk, zawrócił się. Proboszcz chciał go wstrzymać, napróżno. Stary pątnik pociągał go ku sobie, trwożąc zarazem; ciążyły mu nielitościwie jego przepowiedni słowa. Doszedł aż do drzwi kościołka, przestąpił próg i w kruchcie mimowolnie padł na kolana, pobożnie złożył ręce, modlił się i słuchał.

Od wielkiego ołtarza słychać było urywane wiersze Psalmów Pokutnych.

W Warszawie czekały na króla wieści niepocieszające. Marya Ludwika wprawdzie powstała była z łóżka i czuła się lepiej; ale burza kozacka, mimo powolności posłów wysłanych do Chmielnickiego, zażegnaną nie była.

Uzuchwalony Chmiel więźniów wypuścić nie chciał; znęcano się nad posłami słowem i czynem; Kisiel, od obu stron podejrzewany, prawdziwym męczennikiem stał się dla miłości Rzeczypospolitej. Chmiel go zdrajcą Rusi, Polacy zdrajcą Polski zwali; przecież on nie przestawał pracować i choć zawieszenie broni wymodlił, granicą postanowiwszy—Horyń!

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYZKIE

Paryż w Marcu 1886 r.

Działalność kobiety. — Dążności społeczne; jej stanowisko w dziedzinie Sztuk Pięknych.—Wiedeńskie Stowarzyszenie kobiet autorek i artystek.—Ciekawe szczegóły.—Stowarzyszenie artystyczne kobiet we Francyi.—Wystawa zjednoczonych kobiet artystek. — Wystawa artystyczna przy ulicy Volneya. — Nowy obraz Munkacsy'ego: *Ostatnie chwile Mozarta*, z muzyką.—Reminiscencya krakowskiego odczytu o Szopenie.—Reklamy.—Przedsiębierstwo i sztuka w naszych czasach.—Nowy zwrot literacki we Francyi, do wyjścia z pozytywizmu.—P. Bourget i jego nowa powieść *Un crime d'amour*.

Działalność kobiety poza obrębem domowego ogniska coraz-to szersze w naszej społeczności opisuje koło. Jej niezmordowane usiłowanie do zajęcia wyższego stanowiska nad to, jakie jej było wyznaczone dotąd, z każdym dniem staje się wyraźniej i dobitniej oznaczonem. Czy taka dążność jest dobrą, czy złą? — dziś byłoby o tem jeszcze zawcześnie, a nawet bezużytecznie, rozprawiać.

Stanowisko matki rodziny, wraz z obowiązkami żony, jest tak poważne, wspaniałe i piękne, iż równego żaden inny zawód lub powołanie nie zdoła dać wzamian kobiecie, i dlatego-to wiele potężnych i głębokich umysłów było i jest stanowczo przeciwnych wszelkiemu dążeniu kobiety na wyższe szczeble. Są znowu inni, i ci może stanowią większość, którym nie byłoby wcale rzeczą grzeszną widzieć kobietę biorącą udział we wszystkiem, cokolwiek jest ludzkiego na świecie. Jak w życiu mężczyzny być dobrym mężem—dobrym i bacznym ojcem rodziny, nie przeszkadza wypełnić wiernie i dzielnie obowiązki obywatela i męża stanu: tak i kobieta może zespolić te obowiązki włożone na nią od natury i przyjęte od społeczności, byleby strona zewnętrznych powinności nie przeniosła zbyt daleko strony obowiązków domowych. Pod tym względem pole literatury i sztuk pięknych zdaje się być jakby wskazaną naprzód sferą działania, w której zdolności, temperament i usposobienie kobiety najobfitszy do zbioru plon otrzymać mogą.

Widzimy tego bardzo zachęcający przykład w Wiedniu, gdzie już od roku zawiązało się stowarzyszenie kobiet, pod nazwą: „Stowarzyszenie wiedeńskich kobiet autorek i artystek.“ Odepchnięte przez zbyt surowe regulamina męzkich towarzystw artystycznych i literackich, kobiety postanowiły utworzyć własne swoje koło, z podwójnym celem: zapewnienia sobie wolnej wymiany umysłowych poglądów i dążeń—i poprawienia wspólną pomocą losu biednych, starych i cierpiących sióstr swoich.

Jest to, ile mi wiadomo, pierwsze stowarzyszenie tego rodzaju, a założenie jego ułatwić musiała wielce ta okoliczność, że w Wiedniu i w całej Austryi liczny bardzo zastęp kobiet poświęca się nietylko muzyce i sztukom pięknym, ale i literaturze. Z tych ostatnich dość będzie wymienić niektóre, nie robiąc wyboru i różnicy. Są niemi: pani hr. Wickenburg-Almazy, autorka poematów: „Moryna,“ „Graf Remplin“ i t. p. komedyi historycznej p. t: „Awantura Delfina“ odegranej z wielkiem powodzeniem w ostatnich czasach w Burg-Theater; Marya Ebner-Eschenbach, której znakomite nowelle: „Baronowie Gemperlein,“ „Dwie hrabiny“ i t. d., odznaczają się wielkim talentem spostrzegawczym i znakomitą ironią; Anna Christen, poetka wielkiego talentu; Minna Kautsky, powieściopisarka i naśladowniczka George Sand; Marya Thurnberg, autorka dzieł pedagogicznych poważnych; Anna Forstenheim, Emilia Mariot; Eug. della Grazia, wszystko młode powieściopisarki i poetki, i t. d. Zastęp to, jak widzicie, wielki, a wyliczając młodsze i szczęśliwsze niechże nie zapomina o tej biednej Betty-Paoli dziś staruszce, której śliczne piosnki śpiewała cała Austrya i Niemcy, a która, dziś, schorowana zapomniana, prawie bez sposobu do życia, ukrywa się gdzieś biedactwo, w domu przyjaciół, daleko od świata.

Widzicie, jak mówiłem, że sam literacki zastęp jest wielki: to też założenie stowarzyszenia poszło jak z płatka, koło kobiet autorek i artystek otwarte zostało w Kwietniu r. 1885. W początkach było trochę wahania się, niepewność powodzenia napędzała strachu najśmielszym: ale znalazły się odważne i wytrwałe kobiety, i rzecz się zrobiła. Dziś powodzenie stowarzyszenia przeszło wszelkie nadzieje, najśmielszych nawet.

Statut powiada, że stowarzyszenie ma na celu: wspierać moralnie i materyalnie usiłowania kobiet autorek i artystek na polu pracy; założyć kassę zapomogi, w nieszczęściu, lub w nagłej chorobie; nakoniec zająć się urządzeniem żelaznego funduszu, mogącego zapewnić pensye emerytalne towarzyszek podeszłego wieku.

Rozchody pokrywają się składkami członków stowarzyszenia, którzy się dzielą: na fundatorki, towarzyszki zwyczajne i pomocnicze. Każda kobieta, nieposzlakowanego prowadzenia, mogąca przedstawić dzieło pewnej wartości literackiej lub artystycznej, może się stać towarzyszką zwyczajną koła; każda osoba, która wniesie do składki przynajmniej sto złotych reńskich, jest fundatorką; każda zaś osoba płacąca corocznej składki najmniej dwa złote reńskie—pomocnicą. Dziś stowarzyszenie liczy już 50 członków zwyczajnych, 150 pomocnic i 15 fundatorek. W dwóch ostatnich kategoryach występuje nawet jedna koronowana głowa i kilka dam najwyższych dygnitarzy państwa, z których większa część płaci nierównie więcej, niżeli minimum prawidłowe.

Komitet nadzoru stowarzyszenia składa się z pań: Maryi von Thurnberg, Katinki von Rosen, Anny Forstenheim i Julii von Theuen.. Komitet ten zaofiarował swoim fundatorkom i pomocnicom, które nie mają żadnej pretensyi do otrzymania pomocy lub pensyi od towarzystwa, i które nie brały żadnego udziału w każdomiesięcznych wieczorach, dawanych dla członków zwyczajnych, pewien rodzaj wynagrodzenia, odpowiedniego ich zasługom i wdzięczności stowarzyszenia. Postanowiono więc, że każdej zimy urządzone zostaną cztery wieczory literacko-muzykalne, bezpłatne i przeznaczone na cel wyżej wskazany. Dzięki ogólnym usiłowaniom wszystkich pierwszy wieczór miał miejsce 19 przeszłego Listopada, w pięknej sali resursowej w Wiedniu—przy licznie zebranej i wyborowej publiczności. Pierwszy też raz dał się tu słyszeć piękny chór kobiet, który w następnych wieczorach zyskał uznanie największych znawców. Dziś to chwalebne stowarzyszenie jest w pełnym i wspaniałym rozwoju i pewne swojej przyszłości.

Szczegóły owe winienem bardzo miłej choć nieznanej korespondentce, której list podwójną a wielką sprawił mi przyjemność. Kiedy Towarzystwo literackie i artystyczne międzynarodowe zjechało na kongres do Wiednia w r. 1881, i kiedy nas tam wspaniale i serdecznie podejmowano na wyżynach Semmeringu, wasz korrespondent, wezwany do wzniesienia toastu, wzniósł go na cześć kobiet wiedeńskich—wszystkich a szczególnie literatek i artystek, przypominając zgromadzeniu ten piękny wiersz Hen. Heinego, który się zaczyna od słów:

„Du bist wie eine Blume...“

Otóż korrespondentka moja była obecną na tej uczcie i dodaje pochlebnie, choć zapewne przez grzeczność jedynie, że ten toast sympatyczny, był jednem z tych światełek, które rozświeciły w oczach kobiet wiedeńskich potrzebę i prawo do utworzenia stowarzyszenia kobiet autorek i artystek. Chociaż *pars mea infima fuit*, przecież czołem biję korrespondentce i stowarzyszeniu.

Tutaj, w Paryżu, przed paru latu założono również Stowarzyszenie kobiet: *Union des femmes Peintres et Sculpteurs* ale zredukowane do samych tylko malarek i rzeźbiarek z wyłączeniem autorek i artystek muzycznych. Nie ma to stowarzyszenie tej doniosłości, ani tak obszernych celów, jak stowarzyszenie wiedeńskie. Głównym celem tutejszego koła jest rozpowszechnianie imion artystek, urządzanie wystawy dorocznej ich dzieł i dokonywanie w sposób łatwiejszy, dostępniejszy, sprzedaży obrazów i dzieł rzeźbiarstwa. A ponieważ kobiety artystki, na równi z artystami płci brzydkiej, dopuszczane są i przyjmowane uprzejmie na doroczne i inne wystawy sztuk pięknych; cel zatem specyalny stowarzyszenia kobiet znajduje już mniejsze poparcie ze strony samych nawet znakomitych artystek, które wolą iść o lepsze z całą massą artystów francuzkich, niż się pospolitować po kątach.

Wystawa zatem tegoroczna stowarzyszenia, otwarta od 1 b. m. w jednej z sal górnych pałacu na Polach Elizejskich, nie odznacza się ani liczbą ani wartością obrazów i rzeźby. Są to świadectwa usiłowań pełnych zasługi, ale niéma tu ani jednego prawdziwego dzieła sztuki. Wyjąwszy dwa lub trzy przedmioty, malowidła na porcelanie, i tyleż okazów emalii, kilka pięknie i zręcznie malowanych kwiatów, o reszcie można by przemilczeć, bez żadnej obrazy, poczynających, jak się zdaje, artystek.

Kwiaty, o których wspominam, są zresztą dziełem pań: Lemaire i Daru, mających już dobrze ustaloną reputacyą w tym względzie. W oddziale rzeźbiarstwa pani Bertaux występuje z *młodą* (nie bardzo) dziewczyną w kąpieli; wody niéma, ale być może w tej sadzawce co służy za podstawę posągu. Oparta na prawem ramieniu, ułożona dość zgrabnie, zdaje się słuchać uważnie ślimaka, który jej pełznie po plecach. Nie jest to bez pewnych zalet, ale jakoś dziwacznie pomyślane. Gdzieby to można postawić tę pannę? i w tak skromnym stroju! Na cóż się to przydać może! A przecież, rzeźbione w marmurze, naturalnej wielkości, ma to znaczną zapewne wartość, już jako sam materyał tylko. Dziwni tu są dziś oni w swoich pomysłach! Jest tu i pani Clovis Hugues, sławna, jeśli pamiętacie, ze swego kryminalnego processu. Jej dziełem jest biust maleńkiej córeczki... widocznie, że ta artystka lepiej włada rewolwerem, niżeli dłutem rzeźbiarskiem. Jedno tu tylko dzieło zasługuje na pochwałę i uwagę. Jest-to popiersie bronzowe przez panią Coutan. Model był brzydki i arcypowszedni, ale popiersie jest wykonane z całą biegłością prawdziwego artysty.

Nie lepiej jednak od zjednoczonych niewiast popisali się tą razą *viri uniti*, zjednoczeni mężowie, których wystawę znajdziemy w kole artystycznem i literackiem przy ulicy Volney'a. Jeżeli na wystawie niewiast mogliśmy odznaczyć przynajmniej dzieł kilka, a gdybyśmy byli mniej wymagającymi, znalazłoby się tam ich i kilkanaście, tutaj ani jednej wzmianki nie jesteśmy w stanie odszukać na ulotnych kartkach naszej pamiątkowej książeczki. Nieznane nazwiska nieznanych artystów, to jeszcze mogłoby posłużyć za dostateczną wymówkę tego nawału miernoty, na gromadzonego gdzieś daleko, w małem miasteczku głuchej prowincyi. Ale tutaj w Paryżu, w tym grodzie, co się nazywa — jak mawiał mój nieboszczyk sąsiad—*Miastem światłości!* spotkać

taką niespodziankę, — to już zawiele. Niestety! powiedzmy prawdę, w tym zbiorze 150 kilku okazów — bo to nie obrazy, ale wyroby malarskie—nic, ale to formalne nic a nic, nie zasługuje na uwagę. Zdaje się, że to są ludzie z innego świata, z innego kraju; godzi to nas z wystawą kobiet i wyznajemy z pokorą i z przyjemnością, że więcej nadziei na przyszłość daje nam wystawa „Zjednoczonych kobiet,“ niż męzka wystawa przy ulicy Volney'a.

Ale cóż? wszystko to żyje reklamą. Tak cię opiszą, okrzyczą, ograją, że chcąc niechcąc, wpadniesz, jak mysz, w łapkę, i śmiejesz się sam z siebie. Tak się też działo i tak się też dzieje jeszcze z Mozartem Munkacsy'ego. Póty trąbiono, póty bębniono około nowego obrazu tego malarza, aż póki połowie najmniej Paryża nie wciśnięto przez uszy i oczy do mózgu, że potrzeba widzieć obraz Munkacsy'ego, sławnego, wielkiego malarza! twórcy dzieł nieśmiertelnych! a między niemi *Miltona z córkami*, który jest do widzenia w salonach Sedelmeyera!!!

Dla tak niepomiernej miłości własnej, jaką są uposażeni w ogólności malarze, a w szczególności potomek Arpada—tego trąbienia było nie dosyć. Potrzeba było wynaleźć coś lepszego, i na szczęście, Munkacsy przypomniał sobie, że to Polak Węgier—dwa bratanki!—i tę sławną scenę, która się odegrała niegdyś w Krakowie na sławnym odczycie, słynnego professora, o Szopenie.. Odczyt to był jedyny, niesłychany - jakiego oko ludzkie nie widziało, a ucho nie słyszało — odczyt był z muzyką z orkiestrą? Nie, to byłoby zanadto — ale z fortepianem... Jedna z pań krakowskich wielbicielka Szopena, podjęła się części muzykalnej, professor napisał libretto; i kiedy na dane hasło, do urządzonego *ad hoc* salonu, zlała się cała śmietanka krakowska—prelegent najmilszym głosem zaczyna: „Fryderyk Szopen rodził się w Warszawie w roku 1810, pierwsze lata dzieciństwa jego rozwinęły się szczęśliwie w domowem zaciszu.“ Tu, daje się słyszeć fortepian i słuchacze są zachwyceni jednym z tych oberków Szopena, które tak dobrze malują dla duszy młodość i wesołość dziecinną wielkiego mistrza. Prelegent, przebiegłszy pierwsze lata młodości przychodzi do pierwszego koncertu Szopena, po czem następuje znowu zachwycające Andante Maëstoso... i tak dalej jedno po drugiem: to Mazur, to Nokturno, to Allegro, to waryacye z *Cis* bemol. A prelegent, tak pięknie, tak składnie prowadził swój odczyt, że to wszystko się splata z uroczą wiązanką i powoli nieznacznie prowadzi aż do ostatnich chwil Szopena, poczem jakby posępna lawa wulkanu, wylewa się ten niezrównanego efektu *Marsz żałobny*, jedna z najrzadszych pereł, prawdziwa czarna perła z naszyjniku Szopena!

Przypomniał to sobie zapewne nasz Węgier kochany i postanowił wydać drugą poprawną edycyą tego przedstawienia. We wspaniałej swojej pracowni, pogrążonej w zupełnej ciemności, ustawił swój obraz w dobrze obrachowanej odległości od widzów. Sam tylko ten obraz wśród mroku cieni oświetlony jaskrawo padającem nań z góry światłem lamp elektrycznych nabierał prawdziwie fantastycznych blasków. Zaproszeni goście, i jacy goście! kwiat i też śmietanka, wielbicieli i przyjaciół mistrza wsuwali się ostrożnie, pocichu i w danej chwili, w głębi pracowni, za grubą zasłoną, odzywa się naraz fortepian i sprowadzeni umyślnie kościelni śpiewacy, zaintonowali owo *Requiem* Mozarta—chluba mistrza i przedmiot obrazu. Kiedy żałośny, bolesny śpiew skonał, kiedy się dosyć nasyciły oczy obrazem, cała kompania przeszła do salonów, gdzie cygańska orkiestra zagrzmiała narodową czardę, w której z całą gracyą i wdziękiem Madjara z Munkacsu, wystąpił gospodarz w parze z gospodynią i dalej-że w pląsy. Powiadają, że nigdy jeszcze w Paryżu nie widziano odtańczonej czardy z taką furyą, jak w ten pamiętny wieczór u Munkacsy'ego.

(Dokończenie nastąpi).

LISTY Z ZAGRANICY.

J. I. Kraszewskiego.

Nim się zwrócimy do nowości w literaturze, których początek roku dostarczył i jeszcze obiecuje, zapiszmy w kronice Riviery rozpoczęcie i ukończenie zapowiedziane karnawału, który na całem wybrzeżu obchodzony będzie od d. 4 Marca do 10-go. Z Nizzy, gdzie obchód się zapowiada najświetniejszym, bo miasto ludniejsze ma środki potemu, przychodzą zapowiedzi uroczystych popisów z wozami allegorycznemi i komicznemi i świetnej „Bataille des fleurs.“ Nigdzie też w Europie całej kwiatami zarzucać ulic pierwszych dni Marca nie udałoby się, chyba burząc całe cieplarnie, oprócz tego zakątka, w którym nawet lat wyjątkowych, jak rok teraźniejszy, róże wcale kwitnąć nie przestawały, a właśnie o tej porze co żywiej się okrywają pączkami.

Bitwy kwiatów stanowią niezliczone wiązanki i pojedyńcze gałązki, któremi jadący powozami wzajem się obrzucają. Tysiącami całemi otwierające się wonne „dzieci Flory“ giną w tem bombardowaniu, które bodajby były jedyną i ostatnią wojną tego roku.

Nizza słynie obfitością niezmierną kwiatów, ale nie ustępują jej ogrody wszystkich stacyi, począwszy od najdalszego Nervi, z sadami kwiatu pomarańczowego, aż do Cannes i Hyères. Bitwa kwiecia najwspanialej zapewne wyglądać będzie w Nizzy, dokąd ciekawi i ztąd pośpieszając kto może, ale i najmniejsze stacye, jak skromne nasze San Remo, nie odmówi sobie przyjemności ulicznego popisu. Miasto najpiękniejsze wozy z emblemetami i t. p. wynagradza premiami pieniężnemi a prywatni goście amerykańscy i angielscy z dobrej woli dopełnią reszty. Wszędzie się znajdzie jakiś bogacz, który parę tysięcy lirów gotów będzie wyrzucić na ulicę, aby nazajutrz jego szczodrobliwość sławiono.

Więc i San Remo, do którego dziś wjeżdża jego królewska mość karnawał 1886, nie zostanie pozbawione woni i pociechy dla oczów. O wozach allegorycznych nie wiem wiele, chociaż patrzę na budującego się od kilku dni w dziedzińcu sąsiedniego domu wieloryba, ale kwiaty wszędzie już dziś ścinają nielitościwie.

Z tych, które najniepomyślniejsza wiosna tegoroczna już pootwierała w oliwnych lasach sąsiednich, mówią o mnóztwie fijołków, przelaszczek, hiacyntów, róż i t. p. Po ogrodach uczyćby się potrzeba nazwisk zupełnie nieznanych, w znaczniejszej części świeżo zaklimatyzowanych krzewów kwitnących. Pomiędzy niemi są bardzo wdzięczne i wonne.

Zima się tu kończy, przy powszechnem narzekaniu chorych i zdrowych na pogodę wyjątkową. Nigdy, oddawna takich upartych słot i chłodów tu nie pamiętają mieszkańcy. Wspomnieliśmy w przeszłym liście, że w San Remo tylko raz jeden termometr zniżył się na bardzo krótką chwilę poranną do zera. To kilkogodzinne zero starczyło na pozabijanie przepięknych bananów (Muz), na zwarzenie heliotropów, zabicie datur i t. p.

Od tego dnia smutnej pamięci ciągle potem miewaliśmy po kilka tylko ubogich stopni ciepła, przy nieustannie powtarzających się w rozmowach lamentach na rok wyjątkowy. Ponieważ Marzec ma i tu, jak u nas, ustaloną sławę kapryśnika, który zawsze figle zimna wyprawia, nie widzę dlaczegoby w tym roku wyjątkowym miał się koniecznie poprawić. Z Marcem prawie kończy się „Sezon“, goście zaczynają rozpraszać po szerokim świecie i—stacye pustoszeją, potem aż do roku następującego.

Zapisawszy w kronice „rok wyjątkowy“, przejdźmy do literatury.

Nie jest ona, jak widać, jednem z najgłówniejszych zajęć gości i chorych, gdyż księgarnie tutejsze wiele życia nie okazują; niéma prawie jednej, któraby oprócz handlu bibułą drukowaną nie posiłkowała się sprzedażą papieru, kopert, materyałów piśmiennych i t. p. W Nizzy tylko księgarnie są cokolwiek obficiej zaopatrzone, w San-Remo dwie znaczniejsze, albo raczej jedna, nie okazują bynajmniej zbytniej zabiegliwości, aby żądanie gości zaspokoić. Prawda, że przewidzieć je trudno, a towarzystwo składa się z tak rozmaitych żywiołów i narodowości, iż żadna pono księgarnia nakarmić-by ich nie potrafiła. Jest jednak pewien rodzaj nowości tak dziś powszechnie czytanych, iż przynajmniej w nie księgarnie-by się zaopatrywać powinny. Czytelnik łatwo odgadnie, iż mówimy o powieści.

Niedawno wspominaliśmy o ostatniej pani Henri Gréville pod tytułem: „Clairfontaine.“ Talent znakomitej autorki, który już nie poraz pierwszy bohaterów swych szukał u ludu, wyszedł zwycięzko z zadania i dał nam bardzo wdzięczną sielankę, tragicznie rozwiązaną. Clairfontaine ma też w sobie tyle żywiołu dramatycznego, że pod wprawnem piórem dałaby się z łatwością przerobić na scenę.

W ślad za tą powieścią otrzymaliśmy (piąte wydanie) „Kleopatry.“ (Paris-Plon 302 p.). Po dosyć długim przestanku jest to zwrot do najpierwszej treści opowiadań autorki, która, jak wiadomo, zrodzona w Rossyi, spędziwszy w niej młodość całą, czerpała w obyczajach społeczeństwa najlepiej sobie znanego rysy do nadzwyczaj wdzięcznych obrazów. Któż sobie nie przypomina „Spadku Xeni,—Księżny Ogarow, Małżeństwa Filomeny, Kumiaszynów, Niani i t. p.?“ Nagle potem poznawszy lepiej Francyą, pani Gréville zaczęła pisać powieści na studyach jej obyczajów oparte. Zdawało się nawet jakby zupełnie wyrzec się chciała tego, co jej dało najpierwsze uznanie. Z Kleopatrą wraca do świata, który tymczasem, jakeśmy niejednokrotnie zapisywali, wszedł w modę. Rzadkie dziś jest opowiadanie, w którémby jakaś postać z północy wędrująca nie odegrywała roli. Daje to łatwą oryginalność pisarzom, którzy na świat mało lub fałszywie dotąd znany mogą rzucać światła i cienie—nie podlegając ścisłej kontroli.

Pod tytułem: „Rodzina książęca niemiecka“, pamiętniki przez wdowę po Ludwiku Sayn-Wittgenstein-Sayn, urodzonej Amelii Lilienthal (Paryż, Ollendorf 1886, 292 str.), więcej obiecują, niż dotrzymują. Autorce szło nie o napisanie pamiętnika i dodanie karty do historyi domu, ale o upomnienie się o prawa, których jej zaprzeczono. Książę Ludwik von Sayn-Wittgenstein-Sayn, zmarły w Rzymie 28 Lutego 1876 roku, testamentem zapisywał żonie, z domu Lilienthal, całe mienie, jakie pozostawiał po sobie. Ożenienie się to z osobą do arystokracyi nienależącą, a nawet niemającą szlachectwa, źle być musiało widzianem przez rodzinę. Po śmierci księcia postarano się o to, aby wdowę usunąć wszędzie, gdziekolwiek prawo dozwalało.

Książka jest szczyptą popiołu, jaki pozostał po processie. Księżna, nie oglądając się już wcale na stosunki familijne, w ostatnich rozdziałach występuje z goryczą przeciwko przywilejom książąt zmedyatyzowanych w Niemczech. „We Francyi, w Anglii, w Rossyi, pisze zamykając, arystokracya nie zachowała żadnego z praw dozwalających jej nadużyć wyjątkowych, szlachcic musi ulegać prawu ogólnemu. W Austryi nawet, jeżeli rodziny zmedyatyzowane zachowały pewne przywileje raczej złudne, niż rzeczywiste, nie dopuszczają one przynajmniej rozerwania małżeństw, i nigdy też zmedyatyzowani nie mogliby inaczej postąpić względem rodziny tylko tak, jak inni poddani Cesarstwa. Żona austryackiego zmedyatyzowanego, czy jest mu *ebenbürtig* czy nie, nosi toż imię, co mąż, nigdy innego. Małżeństwa morganatyczne, rzadkie, muszą poddani Austryi, poza jej granicami zawierać; Niemcy pozostają ostatnią twierdzą szczątków tej przeszłości, której nikt nie żałuje, a wkrótce zostaną one i ztąd wymiecione, jak być powinny przywileje uświęcające niesprawiedliwość.“

Dalej jeszcze odzywa się księżna: „Dziś wdowa zmedyatyzowanego jeżeli nie należy do najwyższej szlachty, nie może dziedziczyć po mężu ani imienia, ani majątku, pomimo najwyraźniejszej jego woli.“

„Pytam: jest-li to słusznem i sprawiedliwem?“

Wątpimy bardzo, aby pamiętnik wdowy po księciu Wittgenstein mógł najmniejsze wywrzeć wrażenie w Niemczech i przyczynić się do reformy prawodawstwa. Ta klassa, której wyłączne prawa ustawy istniejące zabezpieczają, nietylko nie pożąda zmiany, ale w zasadzie zachowawczej widzi jedyny środek utrzymania się na stanowisku—przeżytem, niestety, i już tylko pamiątkowem.

Parę obrazków z życia zabłąkało się między te smutne karty: wjazd na jeden ze czterech zamków Sayn (nad Renem), przyjęcie książąt, śmierć męża autorki w Rzymie, naostatek pogrzebowa kartka. Z nich daje się czuć, jak cała rodzina opierać się musiała przyjęciu młodej księżny, która ani do korony książęcej, ani nawet do szlacheckiej żadnego nie mogła rościć sobie prawa. U łoża umierającego rodzonej nawet siostry nie było, która się zapewne z żoną nie chciała spotkać. Rzućmy zasłonę na te stosunki, którychby się dotknąć nie godziło, gdyby ich książka nie wywoływała. Pozostanie ona nader smutną pamiątką czasów naszych.

P. S. W chwili gdy list kończymy, słońce świeci nad San Remo i karnawał, o którym zrozpaczono, obiecuje się jak najświetniej w ulicach rozwinąć. Wczoraj po błocie obrzucano się wapiennemi grudkami i śmieciem, dziś roją się ludzie, aby bombardować kwiatami. Główny wóz karnawału wyobraża—wieloryba, zwiastującego emancypacyą ryb!

Z DZIAŁU PRZYRODY.

Kronika najnowszych odkryć naukowych i wynalazków.

(Dokończenie)

Pierwsze wiercenia studni naftowych odbyły się w Pensylwanii około 1859 roku, w którym-to czasie otrzymano 3,500,000 gallonów tego tłuszczu. W 1861 roku zebrano go już 86,000,000, w 1870 roku 181,000,000, w 1878 roku 619,000,000, a obecnie Pensylwania produkuje rocznie 775,000,000 gallonów nafty i niéma żadnej wątpliwości, że liczba ta w niedługim czasie podniesie się do milarda gallonów.

Czytelnik zechce zwrócić uwagę i na to, że amerykański przemysł naftowy nie ogranicza się na jednej tylko Pensylwanii, lecz obejmuje nadto część Wirginii Zachodniej i Stanu Ohio. Pas naftowy ciągnie się tam na 100 mil wzdłuż, a 40 do 50 mil wszerz. Jednym z punktów najzasobniejszych w ten szacowny olej mineralny jest hrabstwo Venango, na brzegach jeziora Erie, na granicy prawie Pensylwanii i Stanu Nowoyorckiego. Napotykamy nadto naftę w innych jeszcze częściach Stanów Zjednoczonych i w Kanadzie, wszelako okrąg pensylwański produkuje ją w największej ilości, a mianowicie sześć do siedmiu razy większej niż wszystkie razem wzięte Stany Amerykańskie wydać jej mogą; dodać też należy, że nafta pensylwańska jest czystszą lub łatwiejszą, do oczyszczenia od kanadyjskiej. Źródła tej nafty są tak bogate, że według obliczeń inżenierów, za lat sto pozostaną jeszcze jej wielce rozległe jeziora podziemne, pomimo olbrzymiej wyczerpującej ten płyn exploatacyi. Dziś owe jeziora tak są obfite, że niektóre ich studnie, wprawdzie wyjątkowo, dają dziennie 2,000 beczek, czyli 3,500,000 gallonów nafty.

W Pensylwanii znajduje się obecnie 20,000 źródeł nafty, produkujących dziennie 2,500,000 gallonów, czyli, że każde źródło wydaje przeciętnie dziennie 120 gallonów.

Do exploatacyi tak rozległego obszaru nafty, potrzeba niepospolitej ilości rur i rynien. Obliczono, że gdyby te dotykały się końcami, reprezentowałyby długość 5,000 mil, czyli 80,000 kilometrów. Nafta wytryskująca ze źródeł wpływa do 16,000 zbiorników żelaznych, z których każdy ma objętości średniej 25,000 beczek. Każdy taki zbiornik kosztuje około 8,000 dollarów, czyli 42,000 franków; niektóre z nich mają 30 metrów średnicy i 7 metrów wysokości Dzięki tym zbiornikom, Pensylwania posiada w zapasie 38,000,000 beczek nafty, to jest taką jej ilość, że możnaby wytworzyć z tego płynu jezioro rozległe na jednę milę kwadratową, 10 stóp głębokości mające. Od 1880 roku wydatkowano na rury przeszło 12,000,000 dollarów.

Oprócz 5,000 mil rur, służących do użytku w okręgu naftodajnym, istnieje ich jeszcze 1,200 mil łączących ów okrąg z miastami Cleveland, Pittsburg, Buffalo i z Nowym-Yorkiem. Nie równie ekonomiczniej jest przeprowadzać naftę temi rurami, niż przewozić ją drogą żelazną. Zbudowano też prócz tego nowe przewody, tak zwane *pipe-lines*, z pomocą których naftę otrzymuje Filadelfia i Baltimore. Wszystkie te *pipe-lines* należą do *Standard Oil Company*, to jest do towarzystwa najbogatszego i najliczniejszego w całym świecie. *Standard Oil Company* zatrudnia 100,000 robotników; produkt jego rafineryi potrzebuje codziennie 25,000 beczek dębowych każda objętości 40 gallonów i 100,000 flasz cynowych, każda objętości 5 gallonów. Łatwo pojąć, jak kolosalnym kapitałem musi rozporządzać towarzystwo, dzierżące w swych rękach tak rozległe przedsiębiorstwo.

Nieustraszony wędrowiec Brazza toruje Francyi drogę do głębi Afryki równikowej. Przed dwunastu laty, gdy Stanley poszukiwał w tychżesamych szlakach Livingstone'a, Brazza zajmując wówczas posterunek w Zatoce Gwinejskiej sądził, że było możliwem przedrzeć się do Afryki środkowej, przepływając Ogowe, rzekę, wpadającą równie jak Kongo do Atlantyku.

I rzeczywiście w towarzystwie p. Marche'a i doktora Ballay przebył tę rzekę, docierając aż do Okanga na północy równika, lecz tu był zmuszonym cofnąć się z powodu nieprzyjaznej postawy krajowców. Nie podobna było przebić się przez ich tłumy i kroczyć dalej tą drogą; z drugiej wszakże strony pojął Brazza, że Kongo jest najlepszą drogą wiodącą w serce Afryki. Zagadnieniem, które należało rozwiązać było, wynalezienie komunikacyi, pozwalającej posunąć się wprost ku morzu od punktu, w którym żegluga po rzece Kongo staje się niemożliwą.

W tym też celu Brazza opuścił poraz drugi Francyą w r. 1879 ze skromnym zasiłkiem pozyskanym od rządu; przepłynął znowu rzekę Ogowe i założył stacyą Franceville w odległości 815 kilometrów od jej brzegów. Następnie wyprzedził Stanley'a w zajęciu N. Tamo na prawym brzegu Konga, w miejscu, gdzie rzeka staje się żeglowną, a tego wszystkiego dokonał przebywszy przeszło 500 kilometrów drogi w kraju całkiem mu nieznanym.

Korzystając z przychylnego usposobienia krajowców i króla ich Makoko, zawarł Brazza z tymże przymierze na mocy którego Makoko oddał swe terrytoryum pod protektorat francuzki, a zarazem zezwolił na zajęcie miejscowości N. Tamo, której słusznie z tytułu zasług Brazza, Towarzystwo geograficzne francuzkie nadało nazwę: „*Brazzaville*."

Za powrotem do Francyi w Czerwcu r. 1882, Brazza powitany został z gorącym entuzyazmem; wręczył on rządowi francuzkiemu do ratyfikacyi zawarty traktat i żądał zasiłku w ludziach i pieniądzach niezbędnego do rozwoju nowej kolonii tak szczęśliwie pozyskanej. Otworzono mu wówczas kredyt na 1,275,000 franków i mianowano go kierownikiem nowej wyprawy. W Marcu 1883 roku Brazza wyruszył w drogę po raz trzeci z tytułem „Komissarza rządowego na zachodzie Afryki."

Rząd francuzki ogłosił niedawno rezultaty tej ostatniej wyprawy niestrudzonego wędrowca.

Głównem jego zadaniem było otworzenie drogi od morza do Kongo, przez Ogowe i Alimę, która jest dopływową wielkiej rzeki Ogowe. Przedsięwzięcia tego dokonał Brazza z powodzeniem; zbadał Alimę i przepłynął ją na statku parowym, dotarłszy do Kongo, a niemniej zabezpieczył swobodną kommunikacyą na całej długości tej drogi, wskutek zawarcia umów z plemionami przez ziemię, których taż droga przechodziła. Urządził też dziewięć stacyi na tym rozległym obszarze.

Od punktu, w którym Ogowe wpada do Atlantyku, pomiędzy Gabonem a przylądkiem Lopez, a mianowicie w Jole, żegluga odbywa się na statkach parowych. Od tego znów punktu kilka gwałtownych prądników zniewala do posługiwania się pirogami.

Od Franceville pierwszym posterunkiem urządzonym przez Brazzę na Ogowe, jeszcze podczas drugiej jego podróży, jest gościniec na przestrzeni 25 kilometrów, wiodących do M'Koni, rzeczułki wpływającej do Alimy. Odtąd bez przerwy aż do Konga można odbywać drogę statkiem parowym. Całkowita długość drogi włączając już i przepływ przez Kongo, od ujścia Alimy do Brazzaville, wynosi około 1,500 kilometrów.

Brazza jest przekonanym, że można wynaleźć trzecią jeszcze drogę krótszą od przepływu Ogowe i praktyczniejszą od wskazanej przez Stanleya wzdłuż kotliny Kongo, gdzie burzy się tyle prądników wśród skał górskich wąwozów. Chodzi tu o komunikacyą prawie zachodnią przez dolinę rzeki N'Duo, wpadającej do Niary, wlewającej się do Atlantyku pod nazwą Kwilu, pomiędzy Loango na południu a Longobende na północy. Jak widzimy, Brazza bada wszelkie środki komunikacyjne, a w szczególności dolinę Niari; na Kwilu zaś urządził już stacyą.

Na mocy traktatów zawartych z królem Loango i z różnymi naczelnikami plemion, wszystkie kraje położone między rzeką Massabi na południu a Kwilu od północy, przyjęły protektorat francuzki. Założono tu dwie stacye: jedną w Loango, drugą w Pointe-Noire.

Prócz tego Brazza zebrał bogate zbiory naukowe na przestrzeni przeszło 3,000 kilometrów i zasobną tę kollekcya flory, fauny, oraz geologiczną przesłał do Muzeum Narodowego w Paryżu.

Podróż Brazzy przyniesie cenne korzyści nauce; nie poczytuje on zresztą swej missyi za skończoną; pozostaje mu bowiem jeszcze wyśledzenie drogi w dolinie Niary i zbadanie, w jakim stopniu i na jakiej przestrzeni Kongo jest żeglowną, a niemniej i dopływy tej rzeki. Dla dopięcia tego celu potrzeba nietylko intelligencyi i odwagi, ale nadto czasu i pieniędzy.

W. Niewiadomski.

Kronika działalności kobiecej.

— We Lwowie na posiedzeniu Rady Miejskiej d. 13 Marca prof. Małecki postawił następujący wniosek: „W chwili w której wobec całego świata stwierdzono potęgę i niespożytą wartość kobiety polskiej, wypada uczcić tę, na której wieloletnia działalność w najzacniejszym kierunku patrzymy z uwielbieniem. Ks. Jadwiga Sapieżyna błyszczy wśród naszych niewiast jako najlepsza obywatelka, najzacniejsza matrona, największa biednych opiekunka! Ona to, należąc sercem, działalnością i zasługami do całego kraju jest grodu naszego wielotetnią mieszkanką i tu zblizka patrzymy na jej wielkie cnoty, jej ofiarność, niezmąconą niczem miłość społeczeństwa, gorliwość w sprawach ogółu. I dlatego w dowód czci i uznania dla najszlachetniejszej niewiasty i najlepszej obywatelki czynimy wniosek:—„Świetna Rada uchwali i gmina kró: stoł: miasta Lwowa, każe wybić medal pamiątkowy ku czci ks. Jadwigi Leonowej Sapieżyny." Rada przyjęła wniosek jednozgodnie.

— Towarzystwo pań miłosiernych Ś-go Wincentego à Paulo ogłosiło doroczne sprawozdanie z czynności swoich, w którem znajdujemy co następuje. Z powodu szczupłości funduszów musiano ograniczyć się głównie do wspierania w cho-

robie tej klassy pracującej, w których przedłużająca się niemożność pracy staje się natychmiast nędzą i ruiną rodziny. Panie stowarzyszone w liczbie 36 wyszukiwały i odwiedzały ubogich tej kategoryi, przyczem 750 osób w ciągu ubiegłego roku wsparcie udzielane tak w formie zasiłku pieniężnego, przedmiotów, pożywienia, lekarstw (7,731), oraz odzieży (sztuk 1.399). Towarzystwo dało schronienie w przytułku czasowym 50 dzieciom, umieściło w zakładach dobroczynnych lub w służbie 143 osób dorosłych i dzieci. Funduszu Towarzystwo miało rs. 12 545 i coś drobnych, wydało na wyżej wymienione cele rs. 12,302. Na dochód Towarzystwa ma się urządzić doroczny raut, który zwykle zapomaga bardzo jego kassę. Przy obecnej biedzie i długiej ciężkiej zimie, Towarzystwo bardzo potrzebuje grosza, miłosiernie danego biednym za pośrednictwem tej zasłużonej instytucyi dobroczynnej.

— W dorocznem sprawozdaniu oddziału Towarzystwa Dobroczynności *Tanich kuchni*, nie spotykamy pożądanego zwiększenia współudziału kobiety, jakkolwiek, gdzieindziej instytucya ta opiera się przeważnie na dobroczynnej działalności kobiecej, naprzykład: w Niemczech, w Berlinie, co przykro powiedzieć, a jednak wyznać należy. Ponieważ Tania Kuchnia N 1 pomieszczona na Podwalu, okazała znaczny niedobór 750 rs. właścicielka lokalu, w którym kuchnia ta się mieści, zniżyła dobroczynnie cenę komornego. Na ostatniem posiedzeniu Towarzystwa w d. 12 b m. uchwalono podziękowanie dla p. Duzowej od lat 18 pełniącej poczciwie obowiązki gospodyni Tanich Kuchni. Zarząd obdarzył skromną zapomogą dwie posługujące w Tanich Kuchniach, a wychodzące właśnie za mąż dziewczęta, udzielając im zarazem świadectwa wzorowego postępowania.

— Dzięki staraniom sędziwej przeoryszy Brygidek grodzieńskich, Eleonory Skrzędziewskiej, starożytna świątynia zgromadzenia została po zeszłorocznym pożarze odbudowaną. W święto Matki Boskiej Gromniczej nowe dzwony (z fabryki warszawskiej Zwolińskiego) odezwały się po raz pierwszy z wieży, dając znać, że służba boża już się tu znów pełnić zaczyna.

— Kaliszanki odznaczają się bardzo szczęśliwie troskliwem pojęciem obecnego naszego położenia. Najpierw dwie zpomiędzy nich: „Zofia" i „Zuzanna" odezwały się w *Kaliszaninie*, nawołując do oszczędności i pracy. Następnie podniósł się poczciwie rozumny głos kobiety, upominając, abyśmy nie kupowali nic od Niemców i u Niemców. Dalej w N 15 *Kaliszanina*, znowu „Zofia" podała projekt założenia *Zbiorowego sklepu*, gdzieby przedmioty ręcznej pracy kobiecej mogły być na sprzedaż wystawione. W N 19 myśl projektodawczyni została podjęta, zapytano ją: czy ma już obmyślane jakie środki dla urzeczywistnienia zamiaru, i radzono, aby za pośrednictwem otwartego listu powzięła wiadomość, na jaką liczbę wspólniczek liczyć może? Niech Bóg szczęści chęciom poczciwym!

— Kolejowy bal w Radomiu rozbrzmiał odgłosem bardzo smutnej sławy. Oprócz korrespondencyi nadeszłej do naszego pisma, nadesłano dwie podobne: do *Słowa* i *Biesiady literackiej*, zawierające wyrazy silnego niezadowolenia ze zbytku w strojach pań balujących. Przy opisie każdej toalety postawił korrespondent cyfrę pensyi męża, lub wraz z ilością posiadanych włók ziemi ilość długów hypotecznych. Stroje miały być nietylko z najpierwszych warszaw. magazynów, ale podobno jeden pochodził aż z Paryża, od Wortha i kosztował rs. 500!! *Biesiada* nazywa bal ten „potwornym", *Słowo* podnosi głos karcący bardzo surowo i niewątpliwie rzecz tak rozgłoszona na kraj cały musi dotykać bardzo boleśnie osoby interessowane, ale opinia publiczna ma swoje prawa, a nawet obowiązki stania na straży obyczajów.

Jeżeli Kornelia Grachowa, pokazując dzieci mówiła: — To są moje klejnoty... czyżby cnota obywatelska nie mogła być w pojęciu kobiety naszej rzeczą dość cenną, dość szacowną aby jej blask bił jaśniej nad jedwabie paryzkie? *Sunt lacryma rerum*...

— Książka p. Lucyny Ćwierciakiewiczowej: *360 obiadów* wyszła w wydaniu czternastem. Na okładce jest odbitych 5 medali, które otrzymała na wystawach krajowych od 1877 r. Są to niewątpliwie tytuły do zasługi, która się skarbi na każdem polu pracy pożytecznej. Jeden ze wspomnianych wyżej medali otrzymała p. Ćwierciakiewiczowa za *kurs gospodarstwa dla panien*, który służy jej jako podręcznik przy lekcyach gospodarstwa domowego, wykładanych po pensyach żeńskich.

— Według ostatnich sprawozdań Towarzystwa Ogrodniczego mieści ono w liczbie 481 członków kobiet 59. Z tych 5 liczy się do członków założycieli, 2, do członków rzeczywistych. Jedna z pań, należąca do tegoż Towarzystwa, oraz do spółki popierania naszego handlu owocami, p. Klementyna Macelewiczówna, która, jak to wiedzą czytelnicy nasi—prowadzi gospodarstwo ogrodnicze w zadzierżawionym przez siebie ogrodzie, we wsi Dziewałtowie, w Kowieńskiem (stacya pocztowa Wilkomierz), połączyła to zajęcie od roku zeszłego z pszczolarstwem, co procentuje jej się dobrze. P. Macelewiczówna będąc wykwalifikowana w szkole na Koszykach pszczolarką, uczy go także z zadawalającem powodzeniem. Na zbliżający się kurs tegoroczny, który trwa od 20 Kwietnia do 20 Lipca, ma już zapisanych uczennic 8.

— W Finlandyi zawiązało się w roku ubiegłym Towarzystwo wspomagania kobiet, oddających się poważnym studyom naukowem, przez stypendya. Liczy ono obecnie 2,073 członów i nosi nazwę: *Związek Konkordya*. Za motto stowarzyszenia służy aforyzm wyjęty z pism znakomitej szwedzkiej autorki, Fryderyki Bremer: „Nauka nie zabija kobiecości, ale ją uszlachetnia."

— W Sztokholmie stowarzyszenie pod nazwaniem wyżej wspomnianej Fryderyki Bremer, poczęło wydawać pismo dla kobiet pod tytułem: „Dagma" (Jutrzenka). Kierunek pisma, tak jak i towarzystwa, które je wydaje, musi być najszlachetniejszym, skoro wzięto sobie za patronkę Fryderykę Bremer. Znana i u nas z wybornych przekładów, wydanych nakładem księgarni Natansona około 1860 r., Fryderyka Bremer może być porównaną tak przez podniosły swój talent, jak i szlachetny kierunek myśli tylko ze Żmichowską. Wysoki polot umysłu, połączony z wielkim darem słowa i najczystszym kierunkiem uczuć i wyobraźni, równy jest u obu tych kobiet i zalecać można naszym kobietom młodszego pokolenia poznanie pism szwedzkiej autorki. Nieraz matki pytają się niespokojnie: co dawać do czytania ich córkom, aby je ustrzedz przed lektarą romansów francuzkich, lub ich przekładów? Otóż polecić im można wspomniane przekłady dzieł Fryderyki Bremer. Z działalności towarzystwa, zawiązanego pod jej wspomnieniem postaramy się dać obszerniejszą wiadomość, gdyż musi to być rzecz szlachetnie rozumna, więc pożytecznie jest poznać ją. W *Jutrzence* mieści się wiersz szwedzkiego poety Topeliusu ofiarowany Emmie Aström, pierwszej kobiecie szweckiej, która odbyła z powodzeniem uniwersyteckie studya filozofii. Studyowała ona w Uniwersytecie Finlanckim.

— Angielka M-rs Kerr, która za przekład historyi Serbii Leopolda Ranke, otrzymała niedawno od króla Milana order, przełożyła obecnie inne, dotyczące dziejów Słowiańszczyzny dzieło: Szafarzyka „Starożytności Słowiańskie."

— W arystokratycznych kołach angielskich zawiązała się liga pań, które postanowiły raz na tydzień pościć o chlebie, serze i herbacie, a oszczędzone w ten sposób pożywienie, lub pieniądz, któryby kosztować mogło, odsyłać rodzinom ludzi, pozbawionych roboty. Podobnym był początek postu u Żydów, od których przeszedł on do społeczeństw chrześcijańskich. W czasie wielkich klęsk, lub potrzeb narodowych, powstrzymywano się od jedzenia przez dobę całą i składano to na ofiarę sprawy ogólnej. Gdyby tak zawiązała się u nas liga pań elegantek, które-by chciały nałożyć na siebie post w strojach, zwłaszcza zzagranicy sprowadzanych! Gdyby jedna powiedziała sobie:—Na ofiarę zamożności mego kraju i zarobku tych, którzy żyją na jednej ze mną ziemi, oddychają temsamem, co ja powietrzem i jako kość z tejsamej, co ja kości, jako krew, z tejsamej co ja, krwi: są mi rodzeństwem—nie kupuję paryzkich kwiatów, paryzkich rękawiczek; nie ubieram się w wyroby zagraniczne! Gdyby druga dodała: — Na ofiarę dla uczuć moich rodzinnych, dla miłości moich dzieci, i litości nad moim mężem pracującym: nakładam na moją chęć elegancyi i piększenia się post, który każe mi się wyrzec jedwabiów, aksamitów i wogóle wszystkiego, co jest dla mnie kosztownym zbytkiem... Gdyby...

— Miss Pick, doletnia panna, zamieszkująca jedno z oddalonych przedmieść Lnndynu, otrzymała od zarządu miejscowej gminy wolność zajmowania jednej z obszernych sal publicznych, która za składkowy, zbierany przez nią pieniądz, jest codzień ogrzewaną i otwartą dla robotników lub robotnic bez roboty. Tam-to owe, wyżej wspomniane panie poszczące mają podobno przesyłać pożywienie na własnym apetycie oszczędzone, przytem miss Pick usiłuje gromadzić tam, oile może, dobre książki i pisma peryodyczne do czytania. Bywają tam także urządzane koncerta, przytem panowie i panie, uproszeni od założycielki miewają odczyty i służą pomocą swoją tym ze zgromadzonych, którzy pragnęliby kształcić się naukowo.

— Francuzka doktorka medycyny, Ribard, wyjeżdża do Tonkinu, jest bowiem oddawna domową lekarką rodzin Pawła Bert. Przytem powierzonym jej został urząd szczepienia ospy dzieciom ludności krajowej, i urządzenie dla niej zakładu oftalmicznego. Z zawodu pani ta jest okulistką.

— W Paryżu zajmują się żywo w kołach medycznych kwestyą: zali szczepienie ospy nie powinno być całkowicie powierzone rękom kobiet doktorek? Zdaje się to pomyślanem bardzo racyonalnie, zwłaszcza, że Francya zaczyna obecnie liczyć coraz więcej lekarek dzieci i kobiet ze stopniem doktorów medycyny. Kobieta jest zawsze na swojem miejscu, na swojem naturalnem tanowisku, skoro zatrudnia się dzieckiem.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* **dołącza się arkusz 18-ty i 19-ty powieści pod tyt.: Wydziedziczony**, przez Łukasza Malet'a, przekład z angielskiego.

TREŚĆ. Pessymizm, przez M. Ilnicką. — Rzymianka poezya, przez M. I. — Boży gniew, powieść, (dalszy ciąg), przez J, I. Kraszewskiego. — Nowiny paryzkie, — Listy z zagranicy. I. J. Kraszewskiego. — Z działu przyrody, (dokończenie), przez W. Niewiadomskiego.— Kronika działalności kobiecej.

Dodatek obejmuje: Arkusz 17-ty powieści pod tytułem: **Wydziedziczony**, przez Łukasza Malet'a.— 22 wzorów ubiorów robót wraz z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycyą stołu.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów. Krakowskie Przedmieście Nr 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава 5 Марта 1886 года.